Nr. 12. Warszawa, dnia 7 (19) Marca 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIEKNYM POŚWIECONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	w Austryi rocznie 9 guldenów
miesięcznie..... „ 30	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydień co Środa.

Skład Główny dla p.p. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

W PIERWSZYCH SZEREGACH.

Zapał, rozwaga i wytrwałość to trzy wielkie zalety pracowników na niwie społecznej. Pierwszy daje niejako pobudkę do czynów, druga wskazuje logiczny sposób ich przedsięwzięcia i wykonania, ostatnia zaś zapewnia doprowadzenie do skutku danych zamiarów.

Ktokolwiek rozumie obowiązki jednostki dla ogółu, komu przed okiem myśli stają jasno warunki bytu, kto czuje trudność położenia, tego powinnością najświętszą użyć sił wszelkich i sposobów wszelkich, aby złe społeczeństwu grożące usunąć.

Błędnie sądziłby ten, coby postępowanie takie uważał za cnotę lub zasługę, którą uwielbiać należy.

To prosty dług, jaki spłacić musi każden co żyje, bo na tym świecie nic darmo...

Powinniśmy się oswoić z tą myślą, którą inni przyjęli jako zasadę—jako prawo. Wolność jednostek—jest zarazem ograniczeniem ich własnych swobód na korzyść drugich.

Żyjemy w czasach gdzie praca i trud zapewniają istnienie. Jestto uporna walka o byt...

Na chorągwi dnia dzisiejszego wypisano dwa słowa: światło i chleb.

Należy zdobyć pierwsze i drugie...

Z pomiędzy tłumu społecznego, wybiega garstka ochotników, aby stanąć w pierwszych szeregach. Postanawia ona zwyciężyć lub zginąć z chwałą. Hej naprzód! wołają oni—z pieśnią młodą, z pieśnią świeżą stawajmy do pracy. Porosła chwastem i zapomniana niwa nauki i przemysłu zbyt długo leży odłogiem. Nie żałujmy rąk, a plon wynagrodzi trudy stokrotnie, dalej za ideją, za tym wodzem naszym... czego nie mamy zdobądźmy krwawym znojem. Jak kamieniarz bijmy młotem od świtu do nocy, w dzień jasny, w noc gwiaździstą patrzmy w księgę obowiązków, a wyczytamy w niej rady zdrowe, wykujemy w rodzimej skale przyszłość naszą.

Nie będzie ona rajem dziecinnych snów, nie będzie jako skarbiec królewski wyzłocona od podłóg do szczytów, nie będzie tradycyjnym gmachem jaki od wieków budujące duch marzyciel, ale będzie jako wystawa płodów myśli i ręki, będzie jako arsenał broni, którą pokolenia przyszłe ujmą oburącz, i pogonią na ostre w walce, o stanowisko, o pomyślność, o istnienie swoje.

Są epoki stanowcze w których tak przemawiać należy—kto wie, może i my dzisiaj w takim jesteśmy położeniu. I u nas pojawia się ruch nowy, ochotnicy stają w pierwszych szeregach.

Jutro i dzisiaj... zajmuje umysły — skłania do zadumy nad tym co jest i co będzie.

Dzisiaj to my sami, to nasze cele, nasze trudy nasza obecność. Jutro toć owoce jakie ta praca zbiorowa zgotuje—to wieniec wymarzonych nadziei.

Spojrzyjmy w oblicze dnia dzisiejszego.

Czy te wyłomy olbrzymie, czy braki i niedostatki jakie na każdym widnieją kroku mają zniechęcać? Czy należy opuścić ręce, owinąć głowę grubą oponą ciemnoty i legnąć gnuśnie .. Czy jak ów indyjanin którego łódkę porwał fatalny prąd rzeki, i nam położyć się w łódce losów wypada, aby już z niej więcej nie powstać?..

Nie... stokroć nie! Biada tym co tylko śnić gnuśnie potrafią, ohyda innym co marnotrawną ręką ostatni grosz społecznego dobytku, rzucają w śmietnik brudnych egotycznych chuci.

Nie takim stawać w pierwszym szeregu!

Znikną oni z powierzchni ziemi, spędzeni biczem czasu, bo ich życie dzisiejsze to tylko wegetacyja. Wyrośli z rakowatego pnia, urodzili się starcami, wykarmili mlekiem przesądu i na szczątkach tradycyi, śród rumowisk chwały ich ojców, zbudowali dom niecnoty i ozdobili go jakby na urągowisko zasłużonych przodków godłem. Gnuśność, niechęć, przesądy kasty i zbytek jak kleszcz

ŚLADY ŻYCIA.

XII.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Szanowny Redaktorze!

Zachęceni tym co dotąd słyszeliśmy, szczerze pragniemy korzystać z odczytów niedzielnych dla rzemieślników. Mamy tylko kłopot, w dostaniu biletów wnijścia, bo jakkolwiek te sprzedawane są w ciągu tygodnia poprzedzającego odczyt, to jednak dla zajętych pracą w dni powszednie i w oddalonych częściach miastach zamieszkałych, nabycie ich przychodzi nam z wielką trudnością. Otóż zwracamy się do Ciebie Szanowny Redaktorze z prośbą czyby porozumiawszy się z Redakcyją Gazety Rzemieślniczej nie dało się temu zaradzić w ten sposób, iżby bilety na odczyt następny mogły być sprzedawane zaraz po odczycie, to jest w każdą Niedzielę od godziny 5-ej tak w Redakcyjach obu tych pism jako też w Towarzystwie Dobroczynności.

Nadto ponieważ na odczyty te uczęszcza wiele osób takich, które nie tyle dla korzyści, gdyż to są rzeczy zapewne im już znane tak, iż mogliby sami mieć o nich odczyty (jak np. studenci uniwersytetu) ile powodowani próżną ciekawością zajmują miejsca tym, co rzeczywiście chcieliby się czegoś nauczyć i skorzystać, ośmielamy się wnieść przeto ażeby rzemieślnicy mieli prawo kupować bilety na wszystkie odczyty z góry, a że cena jest przystępna każdy chętnie zapłaci sposobem prenumeraty; tym sposobem będzie miał zapewnione miejsce, tak sam majster jako też jego rodzina, czeladź i terminator.

Mamy nadzieję, że życzenia nasze po rozstrząśnięciu będą może uwzględnione tym bardziej, że odczyty niedzielne mają się odbywać w Resursie obywatelskiej, najwłaściwsza więc byłaby pora do wprowadzenia tej zmiany co do biletów wyłącznie dla rzemieślników, aby odczyty te odpowiedziały właściwemu celowi.

Z szacunkiem i poważaniem.

Dwaj rzemieślnicy, prenumeratorowie Op. Dom.

* * *

„Kilka słów od Rzemieślnika.“ Szybkim krokiem dążymy do oświaty, postęp jest naszym hasłem; wyszliśmy z lat fanatyzmu, w których arystokracyja pogardzała rzemieślnikiem, a mniejszy był występek szlachcicowi trudnić się rozbojem niż rzemiosłem. Dzisiaj jest inaczej. Dziś ten sam szlachcic nie waha się podać swej delikatnej ręki, ciężkiej i spracowanej dłoni rzemieślnika. Zrzuca z siebie kosztowne ubranie, rękawiczki ciska wkąt, a przywdziawszy bluzę stawa wspólnie znim przy jednym warsztacie. Wyższy urodzeniem, wyższy majątkiem i wychowaniem nie pogardza nim. Jest uprzejmy i grzeczny dla każdego, a za najmniejsze udzielone sobie objaśnienie—dziękuje i stara się od-

pasożytny wpijają się w nasze ciało społeczne. Daremnie głos obowiązków woła..... szanujmy spuściznę dni zbiegłych, szanujmy własne zasoby i siły—twórzmy gospodarkę rozsądną z tego co posiadamy, zużywajmy materyjał społeczny ale celowo. Nie bądźmy jak rozbite gołębi stado, szybujące w górę na widok krogulca. Nam nie unikać przeciwności, nam ich szukać potrzeba, pokonywać je, walczyć z niemi. Tam pole zasługi, tam arena walki, tam turnieje nasze.

Daremnie... są tacy co nie rozumieją ducha czasu, oni zapadłszy głęboko w bagnisko zacofania, żyją jak ludzie nie dzisiejsi. Oburzają się na wymagania wieku, marzą o wskrzeszeniu tych nieszczęsnych wad i błędów co gubią i niszczą wszelakie dobro, co stają w poprzek najlepszym usiłowaniom i chęciom.

I staje się fakt dziwny... W obec twardych okoliczności i warunków—siły zamiast się jednoczyć i spajać, rozstrzelają się i marnują na osobiste walki, bezcelowe zapasy... Czegoż wymagają ci ludzie, jakie ich zasady?

Sarkają oni z oburzeniem na to wszystko, co nie licuje z ich poglądem. Chcą zamknąć społeczność w ciasne ramy osobistych pojęć, i myślą, że w tych ramkach znajdzie ona szczęście; znajdzie dobrobyt i znaczenie. Nie urągajmy tym ludziom, ale starajmy się przekonać ich siłą dowodów, faktów siłą, cyfr potęgą. Zastęp zacofanych, pogląda z niechęcią na czyny nowej generacyi. Im się zdaje, że ona zrywa z przeszłością, tymczasem tak nie jest bo jak nie w mocy człowieka jest zerwać z rodziną istot żyjących, i zatrzeć pochodzenia swego ślady, tak nie jest w mocy żadnego społeczeństwa, zarzec się swojej przeszłości. Prawda to przerażająca dla porywczych, chcących doraźny zrobić rozbrat, ze wszystkim co było, a możeby być nie powinno.

„Ludzkość postępuje silnym krokiem po drodze przeznaczenia swojego; prawdy raz zdobyte nie łatwo wymierają, a pojedyncze wybryki mogą je tylko zachwiać chwilowo, ale ich zagłuszyć niezdołają.” Słowa te wyszłe z ust Supińskiego, winny być dewizą postępowych, winny wiecznie towarzyszyć tym co pragną walki i życia. Ponad masami ciemnemi, ponad poziomem ogółu biernie się zachowującego wyrastały i wyrastają jednostki czynne. Giną one i rosną na nowo, bez nich ogół byłby trupem.

Zadaniem tych jednostek, jest kapłański obowiązek Westalki, owo podsycanie gorejącego ogniska, i straż świętego zarzewia, tlejącego w piersiach ludzkości. Zadaniem ich powtarzamy ciągła a wytrwała praca i szerzenie zbawiennego wpływu na masy. Pierwsze szeregi dają przykład następnym, jak walczyć, jak nawet ginąć w imie idei. Pierwsze szeregi nie zważają na zawistne wołania i wrzaski, nie ustrasza ich ani najeżony las przeciwności, ani groza krwawych zapasów, ani opinija co dzisiaj rzuca kamieniem, a jutro stawia na piedestale zasługi i cnoty.

Nie zniechęcajmy się niepowodzeniem, nie ustępujmy przed naciskiem. Wspomnijmy słowa Jana Śniadeckiego. „Najsilniejszy umysł (powiada on) nie ogarnie od razu znaczenia myśli od siebie odkrytej, jedne głowy tworzą prawdy, drugie je rozwijają i upowszechniają albo szczęśliwie stosują. Wszystko się zmienia we wszechświecie. Astronomowie przeglądając dziś stan nieba, nieznajdują gwiazd które od dawnych widziane i naznaczone były, albo one zginęły dla oczów, albo się winną stronę nieba przeniosły.“ Tak jest, może jak owe gwiazdy tak i przeciwności nasze, w inną przeniosą się stronę, może te przekonania i pojęcia które dzisiaj panują, ustąpią miejsca innym, powiemy inaczej, ustąpić muszą, bo bez zmian, bez starć i bez ruchu tak w świecie natury jak w dziedzinie umysłu, nie byłoby życia. Kształćmy charakter, urabiajmy hart ducha, stosujmy się do potrzeb chwili...

Z lekkomyślnych i ostygających szybko, stańmy się ludźmi rozwagi i wytrwałości. Przyłóżmy dłonie do tego co zaniedbane a podnieść trzeba, wskrzesić trzeba, stworzyć trzeba.

Nieraz to czym przeszłość gardziła teraźniejszość uwielbia i ceni. Przeszłość brzydziła się rzemiosłem, gardziła pracą, przeszłość marzyła i rachowała na cudze ptaki. Dla nas dzisiaj każde zajęcie jest dobrym, aby tylko przynosiło korzyść, a było uczciwym. Marzyć przestaliśmy—na to miejsce stawiamy dowody i szereg faktów, rachować na pomoc cudzą nie chcemy, bo stokroć lepiej liczyć tylko na siebie i myśleć o swej własnej doli. Należy wiecznie trzymać dłoń na sercu społecznym, okiem lekarza śledzić choroby wieku, a zapobiegać im głową. Spełniajmy ten obowiązek.

Wielość to siła, więc jednajmy umysły i serca—łączmy dłonie, gromadźmy coraz liczniejszy zastęp pracowników. Bierne masy zamieniajmy na potęgę czynną i działającą, zaszczepiajmy w nie latorośl zacnych dążności, a ona je uszlachetni i na towarzyszów wspólnej pracy i losów wspólnych przeistoczy. Czym więcej będzie ludzi chętnych, tym lepiej. Jeszcze raz powtarzamy odmieńmy naszę naturę, zapomnijmy o błędach dawnych. Wychowajmy młodą generacyją tak aby nas niezawiodła, aby potrafiła prowadzić dalej szczęśliwe dzieło postępu. Wszystkie siły skierujmy w tę stronę....

Dotąd wyzyskują nas na każdym kroku cudzoziemcy. Germanizm wysysa nasze soki żywotne, wyplenia ziemię, exploatuje kopalnie, wyniszcza lasy, których odwieczne sosny i buki były świadkami zbiegłych stoleci.

Pozwoliliśmy na rozwój handlowego monopolu, pozwoliliśmy na pasożytną egzystencyją jednostek nieprodukcyjnych, bo się zająć sprawą dobrobytu, sprawą przemysłu nie umiemy. Tu brakuje pierwszych szeregów, formujmyż je co żywo, tu potrzeba ochotników dzielnych, zabiegliwych, przezornych, a niestety niemamy ich dotąd. Czyżby się nigdy znaleźć niemieli? Nie traćmy nadziei nie opuszczajmy rąk, znajdą się... Tym wszystkim co nam zarzucają nowatorstwa co w naszych dobrych chęciach, w przekonaniach i celach widzą zarozumiałość, widzą poniewieranie tradycyi, chęć wyniesienia się, żądzę poklasków i rozgłosu, odpowiedzmy słowami Micheleta:

„Jak dawne mury, zamki i ruiny tak ludzie bezwiednie przechowują przeszłości cechy.”

My niestarzy jeszcze przejęci jesteśmy mnóstwem wyobrażeń i uczuć starych, z których sami sobie sprawy zdać nie umiemy. Te reszty dawnych czasów tkwią w duszy naszej ukryte, zmięszane, często przykre i męczące.

Jak gdyby cudownym wpływem umiemy czegośmy się nie uczyli; pamiętamy rzeczy których nie widzieliśmy, czujemy w duszy uczuciem ludzi których znać nie mogliśmy.

Ojcowie nasi pytają nas dla czego w wieku pełnym życia, chodzimy pochyleni i milczą-

---

wdzięczyć. Jak miło jest pracować z takim towarzyszem każdy rzemieślnik to przyzna.

Koledzy! starajmy się być godnemi tego uszanowania które odbieramy. Korzystajmy z czasu bo pora nadeszła, aby porzucić stare błędy, zwyczaje i przesądy które nas gniotą. Czyż nam nie należy iść za postępem? Cała Europa jako zacofanych wytyka nas palcami, pokażmy więc, że i my mamy głowę na karku. Wyrugujmy z serc naszych zazdrość, wzgardę i nienawiść, które tak głęboko zagnieździły się w sercach naszych. Niegniewajmy się, że jeden z nas założył sklep, drugi złożył kilka tysięcy do banku, inny zaś dom sobie kupił. Zreformujmy nasze zakłady i rzemiosła, weźmy się szczerze do pracy, do nauki, kształćmy nasze umysły, naszę czeladź i naszych uczniów. Praca uszlachetnia i doprowadza do majątku powiada przysłowie, a ja dodam, że rzemiosło jest złotodajną skrzynią, potrzeba tylko umiejętnie z niego korzystać.

Mamy pisma popularno-naukowe, mamy odczyty wyłącznie dla nas przeznaczone i czegóż nam więcej potrzeba? Brak chęci i silnej woli. Zamiast pójść do bawaryi i tam czas zabijać, trwonić grosz zapracowany w ciągu tygodnia, gdy żona może nędzę cierpi, czyż nie lepiej byłoby przeczytać w domu co nowego lub pójść na odczyt i tam dowiedzieć się o rzeczach takich, o których nie jeden nigdy ani słyszał. Tu może mi kto z was powie: jestem szewcem, krawcem, stolarzem i t. p. mam warsztacik, potrzeba mi znajomości, potrzeba sobie kundmanów zaskarbić, więc na bawaryję pójść muszę. Lecz koledzy! jest to fałszywe zapatrywanie się, rzetelne terminowe i staranne wykończenie powierzonej roboty—tylko to nas rekomenduje i zaleca przed drugiemi.

Potrzeba zreformować nasze warsztaty bo wkradł się wielki nieład i nieporządek. Gdy majster zajęty interesami po za domem, lub ma sklep którego musi więcej dopilnować, powierza kierownictwo warsztatu jednemu z lepszych czeladzi. Lecz czy ono zawsze bywa sumiennie wypełniane? Gdy kota nie ma w domu myszy mają wolny taniec, tak przysłowie mówi, podobnie się też dzieje w wielu warsztatach. Czeladź zamiast pracować dla majstra, robi dla siebie fuszerki i często przyprawia go o wielkie straty. Z uczniami po większej części obchodzą się po grubijańsku, nie dadzą łagodnego słowa, fukają i kułakują bez przyczyny niepamiętając tego, że i oni byli uczniami. Przedewszystkim majstrowie dbający o dobro swych uczniów, powinni zwrócić uwagę na rozmowy pomiędzy czeladzią pełne zgorszenia i wszeteczeństwa. Tak chłopaki z ciekawością się przysłuchują i przy danej sposobności korzystają z tego. Czeladnika dającego powód do podobnych rozmów powinien majster surowo skarcić i oddalić winnego—dla przykładu. Czyż nie powinnyby też zgromadzenia rzemieślnicze naśladować przykładu pana Godlewskiego, o którym czytaliśmy w *Opiekunie Domowym?*

W końcu majstrowie powinni się starać o dobro swych uczni—kształcić ich moralnie i fizycznie. Wszyscy zaś w ogóle narzekamy na złych uczniów, że są krnąbrni, nieposłuszni, niewierni—uczniowie zaś na czeladź i majstrów. Lecz któż temu winien? czy nie my sami.

Majster który chce mieć dobrego ucznia, sumiennie go wykształcić powinien, powinien się nim zająć jak własnym dzieckiem. Wszak i uczeń przyczynia się do utrzymania jego domu, wprawdzie są to siły słabe lecz rokujące. Czyż niegodzien on uszanowania przynależnego człowiekowi? Czyż niepowinien on zasiadać przy jednym stole wspólnie z majstrem i czeladnikiem? Dla czegóż wyganiamy go do kuchni tam gdzieś na ławę lub i do sieni jak nie człowieka. Dla czegóż karmimy go za 3 kop. i tym co nam od ust odpadnie lub potrawą którejby wieprze niechciały? Dla

cy? Oto bo dzieje ludzkości żyją w nas, wieki zeszłe ciężą nad nami”!

Więc choćby nam zarzucano frazeologiją, namiętne krzyki, pozowanie na wielkich ludzi i tak dalej, mówmy, piszmy i biegnijmy ochoczo na pole walki, aby stanąć w pierwszych szeregach, a raczej zasłużyć na to żeby nas sąd ogółu w liczbę tych szeregów zaliczył.

Jako po długiej burzliwej nocy, pogodny błyska poranek, tak po szeregu ciężkich zawodów, gwiazda szczęścia na horyzont wchodzi ludzkości. Człowiek narzeka na złą dolę, ale nie pomni, że bardzo często przyczyna utrapień w nim samym bierze początek.

Ktoż winien sprawom obecnej chwili? W części okoliczności a w części my sami. Lekkomyślne ocenianie warunków bytu, brak przezorności, zaniedbanie spraw społecznych, obojętność na złe które dolegało, powodowały albo smutne reakcyje, albo owcze poddanie się losom. Rządzą nami okoliczności to prawda, ale my przeciwstawiać się im możemy.

Zrućmy z twarzy bezmyślną larwę, wykreślmy ze słownika życiowego słowo *niemożność*, a powtarzajmy, że czego dziś zrobić niepodobna zrobi się *jutro*... ale zrobi *zawsze*. Nie porzucajmy raz powziętych zamysłów, stójmy wytrwale przy raz obranym programie, bo reformy wszelkie i czyny wszelkie dokonywają się długim szeregiem lat i usilną pracą.

Tak pojmujemy tych co idą w pierwszych szeregach, takim tylko to stanowisko zająć wolno.

Wy których skronie siwy włos osrebrza, i wy mężowie w pełni życia co przeszliście jego szkołę, i wy nareszcie co przebiegłszy pierwszą niejako część wędrówki doczesnej, ty młodzieży co rozumiesz obowiązki swoje, i wypełniać je potrafisz—spiesz naprzód.

Przed tobą świat, za tobą mogiły.....

Pomnij na jedno i na drugie, i z dobrą wiarą idź a nie cofaj się nigdy.

Dr. Gustaw Doliński.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Nadszedł dzień zapowiedzianéj uroczystości — dzień balu. Goście z Warszawy przybywali ciągle—pani Ruszczyc, Gucio, Jerzy, i hrabianka Eleonora z ojcem, bawili już kilka dni i ożywiali jednostajne życie w pałacu Władysławów. Wycieczki w okolicę, wyścigi konne, spacery łódką, wieczór gawęda i tańce, rozrywały każdą chwilę. Energiczna Eleonora czuła się w swoim żywiole na wsi, przeskakiwała płoty i rowy—strzelała, przebierała się — tak—że nie wiedziano, czymby pohamować tę miłą żywość kochanéj hrabianki.

Emanuel ciągle prawie był razem z nimi — przedstawiony przez hrabiego — gwałtem został wciągnięty w wir szalonych wybryków. Zaraz pierwszego wieczora po przyjeździe gości—Elodyja obejrzała się po salonie pytając Michel'a.

— A książe Wiśniowiecki?

— Kto?.. zapytali wszyscy razem.

Dyjola opowiedziała im wszystko—i kazała poprosić pana Emanuela. Jerzy pociągnął Gucia szepcząc mu do ucha.

— To kochanek Beaty!

— Wiem!—odparł zaciskając usta.

— Guciu!—zawołała go siostra—i odprowadziwszy do drugiego pokoju — najprzód pocałowała go dziesięć razy—potym rzekła:

— Mój drogi! proszę cię! weź młodego księcia w opiekę towarzyską!.. on ubogi, mógłby się znaleźć w niemiłym położeniu... faites—moi cette grâce!

— Chcesz tego?.. Djolu!

— Koniecznie! il est si bon! si généreux!

Gucio kochał siostrę—czuł wyrzut za postępek z Beatą—przyjął więc na siebie dane mu zlecenie i wywiązał się z niego.

Piękność i *dystynkcyja* Emanuela, ujęła mu wszystkie serce — nawet hrabina Ruszczyc, raczyła doń przemówić łaskawie. Ale on się czuł zmęczonym wśród téj dusznéj atmosfery salonów -- i o ile mógł, uciekał do swego mieszkania.

Owego dnia balu — rano, odbyła się ceremonija chrztu małéj Amelii-Klementyny-Laury-Maryi, któréj rodzice chrzestni—pani Ruszczyc i pan hrabia M.—ojciec Eleonory, złożyli bogate dary na pamiątkę.

Po obiedzie, na którym już było trzydzieści kilka osób—Emanuel chciał wymknąć się do siebie—znudzony pustą gadaniną bez celu—w jednym z pokoi, spotkał Elodyją.

— Pan ucieka!.. Pan się nudzi!.. rzekła z westchnieniem.

— Nie przywykłem do towarzystwa arystokracyi!—odparł z uśmiechem.

— A przecież urodzeniem należysz pan do niéj!—ale pojęciami!.. Jakże myśmy maleńcy przy panu! zawołała smutno.

— Ależ pani!

— Nie mów pan nic o tym więcéj! Dajmy pokój téj drażliwéj kwestyi! Wszak to dziś bal! trzeba mieć dobry humor! — i jak na przekor łzy zaświeciły w jéj oczach. Pan—pan — będzie tańczył ze mną drugiego kontredansa?—pierwszy zamówiony!—tłomaczyła się z rumieńcem.

— Dziękuję pani za jéj dobroć — rzekł Emanuel—ale ja nie tańczę wcale.

— Ah! mój Boże! a to czemu?

— Dla prostéj przyczyny — pani! Byłem jeszcze dzieckiem gdy mię uczono tańczyć—odtąd nigdy nie tańczyłem—nie miałem czasu, ani sposobności!.. dodał z uśmiechem—więc nie mogę dziś robić pierwszéj próby. Będę tylko widzem!

— Ale będziesz pan tańczył!.. ja proszę... panie Emanuelu!..

— O cóż to idzie!—zawołała wpadając raptownie hrabianka Eleonora — no?!.. Dyjola czerwona, pan blady!—cóż to się znaczy?!..

— Pan Emanuel nie chce tańczyć!

— Co?!.. teraz?

— Nie!—dziś wieczór!

— A to mi się podoba! — ani pan nawet myśl sobie o tym! Widzicie go! — dla czego pan nie chce tańczyć? — cóż to pan chory? kulawy?—co?!

— Ani jedno, ani drugie!

— No! to pan może chcesz udawać mądrego i przez wielki rozum boisz sobie potrząść powagi?—co?!

Elodyja parsknęła śmiechem cofając się nieco—Emanuel zmarszczył brwi i rzekł:

— Powód wyjawiłem szczerze hrabinie Elodyi—zapewne zechce go pani powtórzyć.

---

czego przeznaczamy na spoczynek piwnice i miejsca cuchnące zgnilizną? Dla czegóż używamy go w miejsce kucharki, niańki lub posługaczki? Są to błędy naszych prajojców za które nam wypada się rumienić, a my im tak uporczywie hołdujemy. Syn pewnej wdowy po urzędniku, będąc w terminie w okolicy Starego miasta, przez spanie w piwnicy dostał reumatyzmu w najwyższym stopniu i dotąd nie ma pewności czy się wyleczy lub nie. W Prusach zaś uczniowie sypiają na górze pod dachem, a w zimie zaopatrzeni są w dobrą pościel. Każdy majster powinien swego ucznia w sposób łagodny zachęcać do pracy, wieczorem w wolnych godzinach pozwalać dla siebie coś zrobić, nie wzbraniać materyjału, a skończony przedmiot obejrzeć, łagodnie uwagę zwrócić na błędy, one wykazać, a zachęcać do poprawy na przyszły raz. Przez to uczeń nabierze większego zaufania, zamiłowania do pracy; prędzej się wykształci i majster stąd odniesie widoczną korzyść matyryjalną. W niedzielę i święta powinien majster zabierać uczni ze sobą na jakieś wycieczki po za miasto, objaśniać w niektórych przedmiotach, a przedewszystkim pamiętać ażeby nie zaniedbali kościoła i szkoły rzemieslniczej. Jeżeli uczeń zaś sam wychodzi w towarzystwie drugich powinien majstrowi zdać sprawę gdzie był, co robił i jak się bawił, a uczeń który majstra polubi wyzna wszystko jak przed rodzoną matką. Często się zdarza, że uczniowie mają pieniądze—i tu majster powinien swą przezornością działać. Niezabierać takowych, tylko zachęcać do składania w skarbonkę, a z uzbieranych kupić jaką rzecz potrzebną dla niego lub też zanieść do Kasy Oszczędności. Są uczniowie którzy do czasu wyzwolin w podobny sposób kilka set złotych uzbierali. Uczniowie, samopas puszczeni, to największe zło, które wyradza tysiące innych.

Przejdźmy niektóre pośledniejsze bawaryje, a tam ze zgrozą znajdzie majster swego ucznia lub ojciec syna oddanego rozpuście, a przecież niejednego możnaby jeszcze uratować od występku, od zbrodni, osiągając tym sposobem cel tak powszechnie upragniony, ażeby majstrowie mieli dobrych uczniów, a uczniowie dobrych majstrów.

A. Laferski.

* * *

Nie ulega żadnej wątpliwości że Towarzystwo Kredytowe m. Warszawy należy do najbardziej pożytecznych instytucyj, jakie u nas w ostatnich latach powstały. Fakta stwierdzają prawdę tego mniemania. Przed sześciu lub siedmiu laty właściciel domu w Warszawie pragnący zaciągnąć pożyczkę chociażby na pierwszy lub drugi numer hipoteki potrzebował zapłacić 10%, bo na lepszych warunkach pieniędzy dostać nie mógł. Obecnie stan rzeczy znacznie się polepszył. Dzisiaj właściciel domu mający czystą hipotekę z łatwością może uzyskać pożyczkę na 7%, bo o pieniądze, jak to mówią, już nie tak trudno. To podniesienie się kredytu przypisać należy w części wzrostowi kapitałów w kraju, ale głównie i przedewszystkim działalności Towarzystwa Kredytowego miejskiego, które niejednego właściciela od ruiny, niejeden dom od sprzedaży uratowało. Nie od rzeczy też będzie podać tutaj parę cyfr dotyczących tej ważnej instytucyi.

Według sprawozdania z działań Towarzystwa za czas od 1 Października 1871 r. po dzień 1 Października 1872 r. okazuje się, że w ciągu tego roku wypłacono pożyczek w pierwszym półroczu rs. 978,600, w drugim rs. 1,235,100. razem 2,213,700. Ogólna zaś summa pożyczek wypłaconych przez Towarzystwo od czasu jego założenia po d. 1 Października 1872 r. wynosiła rs. 6,352,500. Remanentu w kasie Towarzystwa pozostawało na summę rs. 9,856 kop. 94. Wreszcie

— A pan to nie możesz?!

— Czy pani koniecznie wymaga mego tłomaczenia?

— Cela va sans dire!

— A więc! Nie umiem tańczyć!

— Kpisz pan sobie ze mnie?—czy co?!

— Nie!—odparł lakonicznie Emanuel.

— To pana będziemy uczyć!

— Trochę zapóźno na naukę!—powiedział rozpaczne rzucając wejrzenie na drzwi.

— Djola! prawda to?..

Elodyja kiwnęła główką, z minką zasmuconą.

— Idź pan sobie! kiedyś taki!—burknęła hrabianka Eleonora, z niebardzo wdzięcznym grymasem twarzy i ramion.

Emanuel skłonił się lekko i wyszedł.

— A to kanalija, uparciuch! — krzyknęła zgniewana panna nim drzwi zdołał zamknąć. A śliczny chłopak! dałabym mu buziaka!

— Komu?—spytał wchodząc Gucio.

— Ah! Elodyja! au nom du ciel! nie mów! nie gadaj! — gotówby go zastrzelić!—wołała hrabianka przewracając się na sofę i zanosząc się od śmiechu.

— Nie ma obawy!—odrzekł Gucio—i biorąc za rękę Elodyją, wyprowadził ją do dalszych pokoi.

— Obrazi się!—szepnęła cicho.

— Nie!—wreszcie idzie Władysław, to ją zabawi! Okropna jest!

— Mój biedny Guciu!...

— Wiesz? — że czasem zdaje mi się, że wolałbym sobie w łeb wypalić, niż ją wziąść za żonę!—powiedział zwieszając głowę z niechęcią.

— Mój braciszku! czy to konieczne, żenić się z nią?

— Dla majątku! tak! konieczne.

— Ale tyś taki ładny, dobry—czybyś nie mógł wziąść żony równie bogatéj, a takiéj, któraby ci się podobała?

— Nie! Djolu droga! Mój majątek nie wystarczy na utrzymanie się na stopie *naszéj*. Muszę się bogato ożenić! A Eleonora obok posagu ma tak świetne koligacyje—i jestem jéj pewien!

— Ale ona taka brzydka! ty nie przezwyciężysz nigdy twego wstrętu!..

Gucio westchnął ciężko.

— Moje serce obojętne już na wszystko — żyję—aby żyć—trzpiotam się—pustuję—ale w głębi jestem bardzo smutny!—powiedział zwolna.

— Ah! to tak—jak ja!.. mój jedyny!—zawołała Djola.

— Czuję, że przedemną już nie ma przyszłości! Czasem jakiś obraz świetlany przesunie się w méj wyobraźni, ale rzeczywistość niszczy urok cały....

— Mój Boże! zupełnie i ja czuję toż samo! O! Guciu! jak mi miło, że mogę z kimś się zrozumieć—oniby się tam śmiali z nas!—rzekła z żalem, tuląc się do piersi brata.

— Moja kochana siostrzyczko! z tobą tylko mogę się swoją myślą podzielić—i ty jak widzę nie jesteś szczęśliwą?

— Oh! nie!.. wcale nie!..

— Biedaczka! Dziwnie nami pokierowali! Młodzi, ładni, bogaci, jesteśmy nieszczęśliwemi niewolnikami—innym wszystkich warunków zabrakło—a cieszą się prawdziwym szczęściem!

— Umieją zdobyć go pracą i walką!..

— Kto ciebie nauczył tych słów Elodyjo?—pewno nie matka lub Władysław?.. tak mi się odmieniłaś — dojrzałaś, rozwinęłaś się jak kwiatek!..

— A ty mój Guciu! nie poznaję cię!.. tyle mówisz rzeczy, o których nigdy wpierw nie wspomniałeś!...

— Siostrzyczko droga! mnie teraz inaczéj serce uderza... inaczéj wszystko pojmuję...

— I ja... szepnęła cichutko Djola.

— Ah! Elodyjo moja! bom poznał życie—bo kocham!

Hrabina Elodyja krzyknęła słabo — i zakryła twarz rękami — Gucio tego nie uważał — tylko ją mocniéj do siebie przytulił i mówił daléj stłumionym głosem.

— A ta którą kocham—nie może być moją! nie kocha mię wcale—jest innego narzeczoną!..

— Ah! to wielkie nieszczęście! Nie mieć wzajemności!.. biedny mój bracie! Przekonanie, że się jest skrycie kochaną, osładza srogie więzy losu!

— Ah! jakże cię żałuję mój najdroższy!

Rzuciła się mu na szyję—obsypując pocałunkami—Brat i siostra znaleźli ulgę w serdeczności wzajemnéj. Słabe, zepsute trochę, ale dobre te istoty kochały się i rozumiały—bo charakter ich był jednaki, a losy podobne.

Trzask z bicza i turkot oznajmił gości—zamienili jeszcze jeden pocałunek—i wrócili do salonu.

Ledwo o jedenastéj panie pokończyły tualety i ukazały się w całym przepychu bogactw i gustu. Hrabina Ruszczyc zwróciła uwagę swą pięknością, podniesioną pyszną z fijołkowego aksamitu suknią — i ogromną fryzurą, na wzór mody Ludwika XV. Jednogłośnie uznano uderzające jéj podobieństwo, do pani Pompadour, któréj miała ubiór i manjery. Hrabianka Eleonora, miała niewinną białą sukienkę - ale z tak przerażającym rozmiarów sławnym podwójnym „puffem”, że wszystkim zdawało się widzieć olbrzymią „Mont blanc”, przeniesioną czarodziejskim sposobem na tył sukni zacnéj hrabianki. Wązki przedział między puffem a kokiem zapełniały gałęzie kwiatów, obficie umieszczonych w różnych częściach piętnastéj *koafiury*, niby w koszu ogrodniczki. Tylko niezwyczajna siła téj panny zdołała unieść to wszystko na sobie. Bal się rozpoczął—mnóstwo osób, młodzieży, śliczny salon, dobra muzyka—uprzejmi gospodarze—wszystko rokowało najświetniejszą zabawę. Hrabia Władysław nie tańczył—bawił on starsze panie—i zdawał się być bardzo zadowolniony.

— Panie Władysławie! proszę ocalić moję dobrą sławę, rzekła jedna z dam poważnych— o szczeréj, miłéj twarzy i wesołym uśmiechu.

— Jestem na rozkazy księżnéj!

— Wyobraź sobie pan!—znajduję się osoba w towarzystwie, któréj ja nieznam!— Ja, która znam pół świata zbliska, a drugie pół ze słyszenia! - Szczęściem nikomu na myśl nie przyszło zapytać mi się— bo chybabym dla potrzymania swojego honoru, skłamała na prędce!—Kto jest ten śliczny młody człowiek, z którym rozmawia teraz Fredziowa?..

— Kuzyn księżnéj pani—i to dość blisko!—

— Eh! cóż za żarty!—

— Parole d'honneur! natychmiast go pani przedstawię!—

I hrabia Władysław zwrócił się do Emanuela, mówiąc mu życzenie księżnéj.

Młody stoik słusznie był nazwany pochlebnym mianem ślicznego: czarny ubiór, zdobił bardzo, jego smukłą postać; najwyższy prawie ze wszystkich mężczyzn, odznaczał się pięknością swych rysów szlachetnych, regularnych— wyrazem swych niebieskich oczu, rozumnych i łagodnych zarazem.— Wyż-

---

fundusze Towarzystwa leżące na procencie w Banku Handlowym wynosiły dnia 1 Października 1872 r. rs. 209,893 kop 91. Przytym nadmienić wypada, że obywatele miasta Warszawy sumiennie uiszczają się z rat przynależnych Towarzystwu. W ciągu roku zeszłego wszystkie raty wniesione były we właściwym czasie, a co najpóźniej w terminie dozwolonej ustawą zwłoki. W ogóle jednak żadna zaległość nie pozostała i do kroków egzekucyjnych uciekać się nie było potrzeby.

W obec takich rezultatów istotnie byłoby pożądanym, aby i ważniejsze miasta prowincyjonalne pomyślały o podobnej instytucyi.

* * *

W styczniowym zeszycie Ekonomisty spotykamy najprzód dalszy ciąg studyjum pana Oczapowskiego p. t. „Wpływ klimatu na państwo”. Dalej idzie dokończenie pracy p. Załęskiego o stowarzyszeniach. Musimy zrobić ważny zarzut co do stylu i języka tej ostatniej pracy. Styl ciemny, zawiły, pełen niejasnych zwrotów i wyrażeń. Szyk wyrazów wcale nie polski. Wreszcie język skażony barbaryzmami. Naprzykład *„główniejsza różnica”* zamiast: najgłówniejsza różnica, *„na miejsce”* zamiast: w miejsce, *„do tego”* zamiast nadto, *„pojawić się”* zamiast powstać i t. d. Z przykrością robimy ten zarzut, zwłaszcza, że mamy do czynienia z osobistością, której praca i nauka zasługuje na uznanie, ale trudno—o język dbać trzeba i szanować go należy. Dopełnienie styczniowego zeszytu Ekonomisty stanowi kronika krajowa i zagraniczna. W kronice krajowej mieszczą się: sprawozdanie z działalności Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, budżet dochodów i wydatków Cesarstwa Rosyjskiego na rok 1873 i sprawozdanie z ósmego kongresu statystycznego w Petersburgu. W kronice zaś zagranicznej znajdujemy: sprawozdanie z kongresu w Lisenach, sprawozdanie z działań Banku rolniczo-przemysłowego Kwilecki, Potocki i Spółka w Poznaniu, oraz sprawozdanie z działań Spólki zwanej Tellus w Poznaniu.

* * *

Gazeta Kielecka z d. 22 lutego (N. 16) pisze:

Z przyjemnością dowiadujemy się z pism warszawskich o powodzeniu odczytów popularnych dla rzemieślników. W zeszłą Niedzielę p. Julijan Ochorowicz spół-pracownik „Opiekuna Domowego“, miał odczyt objaśniający dzieje ziemi przed tysiącami lat; na odczycie tym znajdowało się 1,300 osób przeważnie rzemieślników, a przeszło 500 osób odeszło nie dostawszy biletów. Fakt to wymowny, świadczący że ludzie należący do klasy rzemieślniczej czując swoje niskie wykształcenie, pragną się kształcić i umysł swój oświecać. Przekonani jesteśmy najzupełniej, że nasi rzemieślnicy kieleccy z równą gorliwością garnęliby się do oświaty i umoralnienia—gdyby tylko mieli do tego sposobność. Narzekamy na nich że są chciwi, nierzetelni, gburowaci i t. p., ale czy staramy się o ich poprawę? Wymagamy od cechów, od majstrów inicyjatywy w celu poprawy młodzieży rzemieślniczej, a czy staramy się zbliżyć do owych cechów i majstrów, aby ich objaśnić jak sobie w tym razie mają postąpić, aby usunąć przeszkody jakie na tej drodze mogą spotykać? Bynajmniej. A zdaje się że to nie byłoby tak trudno. Jeżeli nasi doktorowie, magistrowie i profesorowie tak są ciężcy że nie mogą się zdobyć na własne prelekcyje popularno-naukowe lub ekonomiczno-społeczne, w takim razie każdy człowiek dobrej woli, umiejący czytać, może ich zawstydzić w tej opieszałej ociężałości. Niech się postara, co mu z łatwością przyjdzie, o cały szereg odczytów zapowiedzianych przez warszawskich prelegentów, i niechaj je odczyta pu-

szość i inteligencyja cechowała się w jego czole wyniosłym, ruchach zręcznych, pełnych godności, i w najmniejszym słówku.— Ciągle zwracano na niego uwagę.—

— Książe Emanuel Wiśniowiecki!— przedstawił go Władysław ciekawej damie.—

— Być że to może syn Marcelego?

— Tak pani!

— A!— przyjemne zdarzenie! jestem cioteczną siostrą twego ojca, mój kochany kuzynku! a par conséquent twoją ciotką! Jakże się cieszę z poznania siostrzeńca i jeszcze takiego ładnego chłopca! Ale mówże mi o twym ojcu, o sobie! dodała uprzejmie.— Skądże tu się wziąłeś? (*C. d. n.*)

MICKIEWICZ,

przyjaciele jego i znajomi.

(Z korespondencyi wieszcza wydanej przez jego dzieci, r. 1870—1872.—2 tomy).

I.

Franciszek Malewski.—Maryja Szymanowska.—J. U. Niemcewicz.—Ign. Domeyko.

Franciszek Malewski dwa razy tylko zjawia się na zamglonym i lukami poprzedzieranym widnokręgu *korespondencyi* Mickiewicza; raz pierwszy w czasach jeszcze Kowieńskich; raz drugi, we dwadzieścia dwa lata potym. W środku tych okresów, panuje głęboka cisza, niby noc długa i głucha, co w biały dzień życia poety, żałobnie przedzieliła poranek jego, od jego wieczora.

Z epoki pierwszej, kilka jest listów Mickiewicza do Malewskiego; ale z odpowiedzi na nie, jedna się tylko dochowała..... jedna i pół raczej, jeżeli dopisek w cudzym liście za połowę obstoi. Wystarczy to wszakże do uwydatnienia kilku rysów moralnej charakterystyki tak wieszcza jak i jego „petersburskiego *szlafkamrata*".

Punkt wyjścia daje tu sam poeta. „Chociaż nie jestem ani smutny, ani znudzony —pisze z Kowna, bez daty, lecz najpewniej w r. 1821,—przecież miwowolne *pryncipium nobilitatis* obraca się we mnie. Jest to zepsuty kompas, który zmienia ciągle kierunki, ale już stracił piérwotną wartość, i nie może trafić na swój biegun".

Trudnoby dziś dojść zaiste, coby ściśle znaczyła owa skarga na stratę pierwotnej własności... Mogłaby to może być uczuciowa alluzyja do zwichniętej równowagi duszy, którą miłość niefortunna trapiła. Zdaje się nam atoli, że prędzej tu o poważniejszych niepokojach mowa, o niepokojach myśli, niż o wzruszeniach serca. Najprawdopodobniej narzeka poeta, na te pierwsze niepewne lecz złowrogie chłody oderwanej filozofii niemieckiej, któremi bezlitosna córa czystego Kantowskiego rozumu owiewać zwykła, szczególniej w początkach zabranej z nią znajomości, jasne, wierzące i do zachwytów skłonne natury słowiańskie; filozofii, z którą właśnie w owe czasy Mickiewicz w bliższe zachodził stosunki. W istocie ton lekki i na pół ironiczny, z jakim poeta odzywa się pod tę porę o mędrcach niemieckich, zdaje się wskazywać, że przyszły profesor kollegium francuskiego wcześnie a instynktowo odczuwał wewnętrzną niezgodę swojego ducha z teoryjami, którym później, *ex-cathedra*, zaciętą wypowiedział wojnę. „Mało co czytam i piszę, —mówi w tymże liście—jedną połowę Szellinga ubiłem, nic nie znajduję niezrozumiałego, a nawet bardzo głowy łamiącego, wyjąwszy niektóre termina *aus der Schulsprache*". „Co się tycze Kanta czy Kantu—dodaje w liście następnym — przypominam, ostrzeżenie Śniadeckiego że ten Kant wiele głów zawrócił, a chociaż się z tej strony nic nie lękam, według tej maksymy starożytnej, że pewni ludzie nie boją się rozboju—wszakże Kant zawsze niebezpieczny. Kiedy nawet z Szellingiem licho! Nie czytałem pierwej jego dodatków: tam sęk! tam ani ugryźć!"

Wpływu niemczyzny, w postaci zwłaszcza suchych metod i systematów, lękał się snać niepomału poeta, skoro nawet z niejakim niepokojem wspomina o niewątpliwym na siebie oddziaływaniu poezyi niemieckiej. „Niemczyzna i romantyczność — pisze do Berlina Malewskiemu—szalenie idą w górę; dotychczasowy parnas krzyczy na zepsucie smaku, Odyniec balladuje bez końca... Ja uchodzę za patryjarchę skażenia". Dodaje wprawdzie zaraz, żo o krzyki krytyków nie dba, ale z samego faktu przechylenia się na stronę Byrona widać, że wieszcz nasz przeczuwał, jeżeli jeszcze z tego jasno sobie nie zdawał sprawy, iż jednostronnością za daleko by może zabrnął; i jeżeli w trzecim liście prosi Malewskiego o kupno w Berlinie dzieł Goethego, z których, jak wyznaje, jednego tylko do tamtego czasu nie czytał: *Reinecke Fuchs*, to z drugiej strony, niemylnie się zdradza, iż perjod niemieckiego bałwochwalstwa minął dla niego. W istocie, czytamy w czwartym liście do przyjaciela: „Po germanomanii nastąpiła brytanomanija; cisnąłem się z dykcyjonarzem w ręku przez Szekspira jak bogacz ewangeliczny do nieba przez uszko od igiełki, za to teraz Byron idzie daleko łatwiej.... wszakże ten może największy poeta nie wypędzi z kieszeni Schillera"... Przeciwnie: wypędził. W ostatnim do Malewskiego liście, datowanym już z Rzymu (grudzień 1829) skreśliwszy kilkoma słowy otrzymane w wiecznym mieście wrażenia, Mickiewicz dodaje: „O Rzymie trudno pisać. Byron jak Horacyjusz Kokles wielkim krokiem most na Tybrze zajął... *ingenti gradu occupavit pontem*". Co znaczy, że i teraz jak przed laty w Kownie, mógł poeta o sobie powiedzieć: „Byrona tylko czytam; książkę, gdzie w innym duch pisano, rzucam bo *kłamstwa nie lubię*".

Byłażby niemczyzna, w przekonaniu Mickiewicza, kłamstwem? — Przypuszczenia naszego nie mamy na czym oprzeć; korespondencyja poety z Malewskim urwała się na Rzymie; sam zaś Malewski, którego Maryja Szymanowska nazwała filozofem, nie sądzimy żeby za to tylko, iż przy odjeździe Adama nie szlochał z Odyńcem „jak baba"—sam Malewski nie miał czasu wdać się w tak górne kwestyje.

Jak nopomknęliśmy, Kowieńskie i Wileńskie listy wieszcza naszego do przyjaciela stoją w *korespondencyi* samotnie. Dopiero po odpłynięciu Mickiewicza z Petersburga, zjawia się najprzód Malewskiego dopisek przy liście Szymanowskiej, a wkrótce po tem list jego cały. Z tych dwu dokumentów nie widać jednak, żeby opuszczonemu druhowi bolała głowa o to, kto u Mickiewicza weźmie górę: Goethe czy Byron. Lękał się wpływu cudzoziemczyzny to prawda, lecz bynajmniej nie we względzie moralnym lub umysłowym. Troskał się jak dobry brat hreczkosiej, co wyprawiwszy młodszego na wojaż, bije się z myślami: a czy mu tam czasami czego nie brak?... Stąd też w listach Malewskiego chodzi jedynie o to, żeby Adaś cało i zdrowo rozgościł się w Europie, aby miał dość pieniędzy i nie przeziąbł fizycznie; co zaś do przeziębień duchowych, pochodzących z ocierania się o „kościotrupy nauki zachodniej"

---

blicznie w Kielcach. Jak najniższa opłata, jeśli można mniejsza od dziesięciu groszy, powinna być oznaczoną, a czas najwłaściwszy w dnie świąteczne od godziny 4 do 6 po południu—miejsce zaś odczytów najodpowiedniejsze w sali hotelu europejskiego. Co się zaś tyczy osoby któraby się raczyła podjąć trudu powtórzenia warszawskich odczytów, na co wątpić należy, aby się mieli nie zgodzić szanowni autorowie prelekcyi, zajęcie to tak szlachetne proponujemy p. *Renkawek* naszemu zdolnemu i powszechnie szanowanemu za gorliwą pracę, Nauczycielowi szkoły elementarnej miejskiej. Najtrudniejszy początek, odczyty publiczne są u nas jeszcze nowością, nie przywykliśmy do nich—wielką przeto byłoby zasługą p. Renkawka, gdyby w sposób powyższy zechciał je spopularyzować. Nadchodzący post i dłuższe dnie, byłyby bardzo właściwą porą na tego rodzaju pożyteczną naukowo-moralną rozrywkę.

* * *

W zeszły wtorek, d. 11 b. m. odbył się koncert p. Władysława Górskiego. Program ułożony starannie z rzeczy poważnych i przeważnie swojskich, sympatyczna gra koncertanta i dobór zaproszonych artystów, zdawały się wróżyć powodzenie, — a jednak względnie do wartości koncertu osób było nie wiele. Tłomaczono ten objaw to niepogodą, to zbiegiem koncertów w bliskim stosunkowo czasie. Co do nas, gdzieindziej widzimy właściwą przyczyną. P. Górski jest artystą sumiennym, traktuje sztukę seryjo, zawładnął techniką i posiada wykształcenie pozwalające mu właściwie zużyć bogaty zapas prawdziwego uczucia,—ale... ma także i jedną wadę, wadę kardynalną—nie potrafi się reklamować. Brak pyszałkowatej arogancyi, a z drugiej strony poczucie rzeczywistej moralnej godności nie pozwalają mu uciekać się do owych znanych w świecie artystycznym sposobów i sposobików gwarantujących materyjalne powodzenie. Ha! cóż robić, trzeba wybierać jedno z dwojga.

* * *

Piszą do nas z Rawanicz (gub. Mińska).

Leżący w Borysowskim powiecie majątek zwany Borysowszczyzna, został w tych czasach sprzedany kompanii francuzko-belgijskiej za summę 1,500,000 rubli sr. W dobrach tych jest huta żelazna i szklanna, także fabryka wyrobów glinianych i powiadają, że nowi nabywcy myślą rozszerzyć i podnieść te fabryki, skąd spodziewają się korzyści i okoliczni mieszkańcy—kolej z Mińska do Wilna otwarta od miesiąca, przejazd trwa nie 6 jak kiedyś pisałem, ale 8 godzin—licząc zapewne przystanek na ostatniej stacyi przed Wilnem o wiorst kilka—gdzie się pasażerowie zatrzymują i czekają z pół godziny na pociąg Petersburgski. Na wiosnę, prócz budującej się dalej kolei Landwerowo-Romańskiej, rozpoczną roboty koło linii mającej połączyć wprost Dynaburg z Bobrujskiem, kolej ta przetnie podobno terytoryjum tutejszych dóbr na niewielkiej odległości.

W Wilnie, jak słyszałem tworzy się bank kredytowy ziemski, z którego wróżą mnogie pożytki dla kraju potrzebującego rzeczywiście tego rodzaju instytucyi. O jakim kolwiek ruchu umysłowym w tutejszej przynajmniej okolicy niesłychać, oświata, mimo dość podobno licznych szkółek wiejskich, krzewi się między ludem bardzo powoli, większość pogrążona w ciemnocie, przesądach i zacofana daleko więcéj niż lud mazurski, który jest bystrzejszego pojęcia i nie tak ociężały jak tutejszy, tak samo można powiedzieć i o tutejszej drobnéj szlachcie, która pod względem umysłowym stoi może jeszcze na niższym szczeblu niż włościanie.

* * *

Na szóstym z kolei w zeszłą Niedzielę odczycie popularnym, wypowiedzianym w Resursie Obywatelskiej przez Redaktora „Wędrowca", p. Sulimierskiego, było osób 800.

—jak Trentowski nazywał mądrość niemiecką — to zacny przyjaciel całkiem snać wierzył w nietykalność samodzielnej wieszcza potęgi. Dbał głównie o jego ciało, pewnym będąc duszy. Pisał tedy do niego temi samemi prawie słowy co i Szymanowska: „Mnie cieplej będzie, jak się dowiem, żeś we Włoszech”,—„Bóg ci błogosław—mówi węzłowato w dopisku — weksle posłałem przez Wołkońskiego”. Później zaś w liście z 11-go czerwca 1829: „Wszystkie twoje polecenia spełniłem; bratu pieniądze przeznaczone posłałem, rozpisałem listy do wszystkich mających na sprzedaż twoje książki... Lecz grunt wszystkiego, jak sprzedałeś weksel posłany? O to byłem i jestem nieraz aż do uprzykszenia sobie niespokojny. Robiłem robotę prędko—rachowałem szylingi, kiedy mi się do Kronsztatu chciało za tobą pogonić; czy się nie stało co na szkodę”?

Ułatwiwszy się dopiero o ile to było w jego mocy, z interesami Adama, zacny Malewski pozwala sobie na kilka sentymentów. „Nic dotąd ze mną się nie zmieniło—powiada. Żal mi stancyi, w której z tobą razem, bodaj czy nie ostatnie dni przemieszkałem; jeszcze i obrazki i książki i rzeczy na miejscu jak były. Ale zmieni się to wszystko w tym jeszcze tygodniu. Nikifora (służącego) nie mam serca odprawić. Zapomniał się raz: podał mi lulkę zrana *). Edward (Odyniec), na drugi dzień po tobie odjechał. Oleś (Chodźko) jest teraz serca spowiednikiem, myśli powiernikiem“.

I miał Malewski poniekąd słuszne powody wierzyć, że cudzoziemczyzna nie łatwo się uczepi genijuszu poety. Kto z kraju wywozi wspomnienia obojętne, zniechęcone i blade, można jeszcze przypuszczać, że ten śród burz i prądów obcych, nie zawsze potrafi zachować trzeźwość i przytomność umysłu. Ale Mickiewicza całkiem inne żegnały wrażenia. Patrząc na nie, Malewski sumiennie mógł powiedzieć poecie: „Zdaje mi się, że to twoja familija po tobie płacząca“. Stosował te słowa rozumie się do rodziny Szymanowskiej. I w rzeczy samej w pamiętnikach nawet własnego domu niepodobna znaleźć czegoś więcej czułego, czegoś prawdziwiej macierzyńskiego nad wyrazy kreślone przez matkę przyszłej żony Mickiewicza, zaraz po jego odjeździe z Petersburga: „Dziatki płakały, Julcia chorowała, a ja tymczasem życzenia najszczersze spełniałam, aby strata, którąśmy ponieśli, na szczęśliwą przyszłość dla ciebie się zamieniła. Proszę do nas pisać, nie wiele ale często... Twoje dobro jest naszym, nasze serca twoją własnością. Żyj spokojny!“ Po czym szła cała kopa przypisków, Helci, Celiny, Odyńca, uwierzytelniona końcową wizą Malewskiego: „Wszystko było łzawe, poświadczam“. (*C. d. n.*)

*) Wiadomo, że Mickiewicz był całe życie zapalonym lubownikiem tytoniu. W jednym z listów Witwickiego jest piękna o tym anegdota z późniejszych czasów, kiedy poeta już był żonatym. Któreś z jego drobnych dzieci, zapytane co robi ojciec, odpowiedziało najpoważniej: *papa travaille de la pipe...* tata *fajką* pracuje.

LISTY ZE STAREGO OBOZU

PRZEZ

Bolesława Prusa.

(Dalszy ciąg.)

Dochodząc do mieszkania ze zdziwieniem ujrzałem światło w pokoju Franciszka i zapytałem go:

— Czy uważasz, że się świeci w oknach, co to być może?

— Ach to pewnie Dorota odniosła mi tak późno bieliznę. Co prawda lepiéj późno niż nigdy, boć to przecież jutro mamy Niedzielę. Nic już nie mówiąc weszliśmy do mieszkania, lecz o dziwy!.. Franuś, który szedł pierwszy, zaledwie drzwi od pokoju otworzył, krzyknął przeraźliwie:

— Co to jest!.. co to znaczy!.. w moim domu Dorota z człowiekiem... tak z człowiekiem orężnym, to jest z mężczyzną uzbrojonym!?..

— Proszę łaski pana, pytlowała Dorota, to my z bratem przyszlim odnieść bieliznę... Spojrzałem. Na środku pokoju stał wyprostowany olbrzymiego wzrostu dragon. Próżno jednak dopatrywałem przy nim oręża; widocznie kuzyn nasz przez prędkość poczytał za uzbrojenie wielkie cynowe guziki i zardzewiałe ostrogi ładnie zbudowanego wojownika.

— Kto jesteś łotrze! groźnie zawołał Franuś przyskakując do dragona.

— To mój brat... mój brat... pytlowała już płaczliwym głosem Dorota.

— Tymachwiéj Tymachwiejewicz Dudakow, radawoj pierwawo eskadrona, dragunskawo połka... rekomendował się tak po grubijańsku napadnięty kawalerzysta, ale nie dano mu skończyć:

— Jéj brat!.. jéj brat!.. ha! ha!. Jéj bratem człowiek nie znający tutejszokrajowego języka!.. wołał nawet w gniewie lojalny Franuś.

Nastąpiła chwila milczenia, w ciągu której Franuś biegał po pokoju jak opętaniec, dragon stał na środku według prawideł obowiązujących wszystkie lądowe i morskie armije całego świata, Dorota zaś roniła łzy gorzkie rysując na stole wskazującym palcem lewéj ręki, jakieś niezdecydowane figury. Wreszcie kuzyn nasz znowu wybuchnął:

— Cóż to? jeszcze stoicie oboje?.. jeszcze?.. won z mego domu i ty i ty, albo.... was skopię nogami!...

Mimowoli porównywałem kolosalne buty słusznego jeźdźca z całą osobą naszego kuzyna i przeląkłem się straszliwych następstw tak energicznie zapowiedzianéj utarczki. Szczęściem, Dorota szybko wybiegła z pokoju, a za nią zrobiwszy w lewo pół obrotu według prawideł obowiązujących, wyszedł i dragon zwyczajem całéj kawaleryi chwiejąc się na obie strony. Franuś dzikie za odchodzącemi rzucił spojrzenie i przez zaciśnięte zęby wycedził:

— Łotr!.. komunista!..

Do dziś dnia pojąć nie mogę, jakim sposobem na tchnącym pogodą i regulaminem obliczu ładnie zbudowanego dragona, dostrzegł nasz kuzyn niebezpieczne cechy komunizmu, tak niezgodnego z duchem wszystkich paragrafów, we wszystkich wojskowych kodeksach. A przytym, skąd ta nagła niechęć do militaryzmu, obok tak silnie rozwiniętych instynktów wojowniczych?.. Doprawdy, głowę straciłby można rozstrzygając podobne tajemnice natury ludzkiéj!

W taki to niespodziewany a tragiczny sposób zakończyła się służba Doroty u Franusia, któremu odtąd nic już nie przeszkadzało stoczyć się na dno matrymonijalnéj przepaści, tyle co rok pochłaniającéj ofiar! Nie będę ci opisywał, ani naszéj pierwszéj wizyty u panny Zofii i jéj szanownego ojca, ani oględzin dokonanych przez tego ostatniego w mieszkaniu Franusia, ani oświadczyn... Pominę również niepokój jakiego kuzyn nasz doświadczał wyjeżdżając do szlubu, o tym bowiem z osobistego doświadczenia najlepiéj się przekonasz; nie mogę jednak nie wspomnieć o zdarzeniu, które mi wyjaśniło poniekąd nagłe wypędzenie Doroty.

Po szlubie i krótkiéj a rzewnéj i do okoliczności zastosowanéj mówce pewnego duchownego, wracając do domu na weselne gody siedliśmy do powozu we czworo: panna Zofija, jéj czcigodny ojciec, Franuś i ja. Franuś, jak przyzwoitość nakazywała siadał ostatni, lecz zaledwie postawił nogę na stopniu, cofnął się tak gwałtownie, że o mało nie upadł na ziemię.

— Co ci się stało Franiu!.. krzyknęła jego druga połowa, szczerze interesująca się organizmem swego ukochanego.

— Eh, nic! drobnostka... to dragon!.. szepnął wzruszony nowożeniec.

W téj chwili po drugiéj stronie już ruszającego powozu, dostrzegłem znanego ci kawalerzystę, który zdawał się być silnie zajęty wykonywaniem jakiejś zuchwałéj i nieprzyzwoitéj pantominy, widocznie do naszego towarzystwa skierowanéj.

— Więc nie lubisz dragonów? spytała ze zdziwieniem panna Zofija, Franciszka.

— O tak.... nie nawidzę ich!.. mruknął nasz kuzyn.

— To wszystko są łotry, wtrącił stary, na wsi przy nich nie upilnujesz ani kury, ani gęsi, ani sługi, ani służebnicy, ani żadnéj rzeczy która jego jest!..

— Czy dla tego ich nie nawidzisz mój Franiu? znowu zapytała oblubienica.

— Nie... nie dla tego, mówił bardzo wzruszony, zapewne szczęściem swoim Franio, ale... bo widzisz, dragoni jednego z moich dziadków zabili!....

O ile pamiętam, nie słyszałem ażeby się który z naszych dziadków, na podobne przygody narażał.

— Może twego rodzonego dziadka? tkliwie wyszeptała nasza nowa kuzynka.

— O nie! Boże uchowaj!... to jednego z ciotecznych dziadków.

W oczach oblubienicy łzy zabłysły i pochylając się do ucha mego kuzyna załkała.

— Dobrym mężem będziesz Franiu, kiedy tak pamiętasz o swoich ciotecznych dziadkach!... Poczym nastąpiło gorące uściśnienie ręki z obu stron, ja zaś na moim odcisku uczułem parcie obcasa panny Zofii, widocznie nie dla mnie przeznaczone i pomyślałem:

Mój Boże! jak ta miłość stara się exploatować wszelkie okoliczności na swój rachunek! I któżby się spodziewał, że niechęć Frania do wojskowych niższych stopni, stanie się punktem wyjścia dla tkliwéj pieszczoty ze strony panny młodéj? Ja wprawdzie nie słyszałem o dziadku zabitym przez dragonów, jeżeli jednak podobny wypadek stanowi dla naszego kuzyna jeden z artykułów wiary, to nie dziwię się ani temu, że wypędził z domu Dorotę z jeźdźcem, ani temu, że go panna Zofija uściskała.

Na tym mógłbym zakończyć pełne przygód dzieje Franciszka, sumienność jednak i afekt familijny zmuszają mnie do niektórych uzupełnień.

Wkrótce po weselu naszego kuzyna skończył się mój proces i ja nie bez żalu musiałem z X. wyjeżdżać. Od téj chwili zaczęło się moje tułactwo po świecie. Gdziem był podówczas, com widział i czegom doświadczył, może ci innym razem opowiem; dość, że dopiero po 10 latach zobaczyłem znowu miasto X. i folwark za Warszawską rogatką, skąd przez cały czas moich wędrówek żadnéj nie miałem wiadomości.

Dziwne jakieś uczucie ogarnęło mnie na widok téj oazy, gdzie mieszkali ludzie, którym bądź co bądź zrobiłem dobrze... Czy wszyscy żyją jeszcze?.. co się tu dzieje!!. oto pytania jakie zadawałem sobie dojeżdżając.... (*C. d. n.*)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Berlin d. 13 Marca 1873 r.

Publiczność berlińska nie jest tak obcą sztuce, jakby się na pozór zdawało, sądząc z ogólnie jéj przyznawanéj praktyczności—częstokroć w zupełnie ujemnym znaczeniu.

Osiemnaście większych i mniejszych teatrów zapełniają codziennie ludzie wszelakiego zajęcia i wszelakiego ubrania, bawiąc się nieraz wybornie sztukami, które u naszej wybrednie artystycznej publiki warszawskiej znalazłyby złowrogie a bezustanne ziewanie. Nie miejsce tu jednak na kazanie i na wyrzuty. Wolę poprostu opowiedzieć, jak się tu teatralne sprawy urządzają. Najpiérwsze miejsce tak pod względem struktury jak i wyboru sztuk zajmują oba *królewskie teatry:* Opernhaus i Schauspielhaus. Niezbyt wielkie, (każdy mniejszą ma scenę niż Warszawski), niezbyt wygodne wewnątrz, ale czyste i dobrze oświetlone, dają pomieszczenie dla publiczności wyborowéj, którą interesują dramaty i opery *klasyczne* lub też wogóle poważniejszego zakroju. Przychodzi ona tutaj jak do dobrze sobie znajomego domu bez żadnej pretensyi do eleganckiego stroju. Nawet ci i te, którzy własną karetą przed peron zajeżdżają, są ubrani jaknajskromniej, jaknajpowszedniej. Tej wystawy toalet, jakiej się w Warszawskim teatrze przypatrujemy, nie znalazłby nawet z milijonem świec. Zresztą byłoby to niepodobieństwem — siedzenia są bardzo szczupłe, ledwie skromną suknią kobiécą pomieścić mogące. Każdy bez wyjątku czy-to mężczyzna, czy kobiéta bierze bilet na parkiet (tj. nasze krzesła), gdyż to co u nas ložami nazywają właściwie tu nie istnieje. Są loże z krzesłami numerowanemi. Tyle co do strony zewnętrznej. Co do sztuk w roku zeszłym było wszystkich przedstawień w obu teatrach królewskich 540 (w Opernhausie nie codzień). *Klasycznych* przedstawień, (do których zaliczają się utwory Szekspira, Schillera, Goethego, Lessinga, dalej opery Webera, Mozarta) było 126; — najwięcej laurów pozgonnych zbierał sławny dramaturg Albijonu. Tego roku 4 Marca dawano Ryszarda II a 7 Marca dalszy jego ciąg (historycznie biorąc) Henryka IV część piérwszą. W obu sztukach najliczniejszemi oklaskami został obsypany p. *Ludwig* (jako Ryszard II i jako syn Henryka IV), mający silny i miły zarazem organ głosu. Nie piszę o treści sztuk, które czytelnikom powinny być znane, zrobię tylko uwagę, że Henryk IV jest sobie prostą *kroniką* dramatyczną w najpiérwotniejszej formie — a przecież w Berlińczykach obudzała ona silne zajęcie. Szekspir dla nich jest bożyszczem, którego głosu słuchają z namaszczeniem. Nawet mniejsze teatra przyczyniają się do jego sławy przedstawiając — komedyje. Tak np. w *National-Theater*, zostającym obecnie pod dyrekcyją p. Jenderskiego, d. 6 Marca grano Szekspirowską farsę *„Ugłaskanie sekutnicy”* (Die Zähmung der Widerspanstigen) — i to z wielkim powodzeniem. Było to gościnne wystąpienie p. *Maryi Seebach*, używającej w Niemczech dość rozgłośnej sławy. Ujmująca powierzchowność a przytym jedna nader subtelnie pomyślana i wykonana scena, ta mianowicie, w której Katarzyna, ulegając popędowi serca i przewadze swego męża rzuca się w jego objęcia — okupiły liczne braki, jakie grze jej zarzucić by można.

W przeciągu dni 5 było więc trzy Szekspirowskie przedstawienia — na każdym wszystkie miejsca były zajęte! Czyż to nie dostateczny dowód szczerego uwielbienia dla największego w dziejach dramaturga?.. Naturalnie nie robią sobie z nim żadnej ceremonii. Obcinają i sztukują, jak się tylko reżyserom podoba — odrzucając wszystkie przestarzałe naleciałości a zostawiając jedynie siłę i świeżość wyrażenia. Prócz tego maszyneryja doskonale urządzona zmienia bezustannie obrazy — nie dozwalając widzowi stracić wrażenia. Podczas całego wieczoru (trwającego od $6\frac{1}{2}$ do 10 nigdy później) są tylko dwie 10-minutowe przerwy.

Myliłby się jednakże grubo, ktoby stąd zaraz wnioskował, że w Berlinie są same poważne widowiska. Przeciwnie, co wieczór jest strawa dla najrozmaitszych temperamentów — i mglisto-romantyczno-sentymentalne dramata i melodramy (np. ulubiona das Käthchen von Heibroun w *Reunion-Theater* i tłuste *possy* i hulaszczo-wesołe *schwanki* i śpiewki z tańcami i wszystko, czego dusza zapragnie — znaleść można w Victoria — w Wolterdorfs' — Callenbachs' — Belle-Alliance, Walhalla — itd. itd. itd. Theater. A wszędzie pełno, wszędzie gwarno, wszędzie *aecht bayriech* albo *aecht erlanger-Bier*, które w większych teatrach na każdym piętrze a w mniejszych — na każdej ławce zapijają. Stąd na twarzach nigdy nie widać znużenia; każdy kontent ze siebie i z reżyseryi, woła po skończonym obrazie: prachtvoll, wunderschön!... Po skończeniu widowiska każdy dopija ostatniej kropli ostatniego Seidla i śpieszy do domu, ażeby się dostać przed jedenastą, nb. jeżeli nie ma Hauschlüssel albo jeżeli nie mieszka w hotelu; — bo inaczej napróżnoby dzwonił, stukał i hałasował; co najwięcej mógłby przenocować na bruku albo w Polizeibezirku.

P.

NAWYKNIENIA I NAŁOGI.

(Wyjątek z dzieła znakomitego rosyjskiego psychologa ś. p. *Konstantego Uszyńskiego* p. t.: „Człowiek jako przedmiot wychowania [1]).

Każda czynność, wymagająca zrazu wielkiego skupienia uwagi i siły woli, często dokonywana, staje się coraz łatwiejszą i wymaga coraz mniejszego natężenia siły woli i uwagi, a z czasem tak się wszczepia w naturę naszę, iż dokonywamy jej bezwiednie wtenczas nawet kiedy uwaga w inną zwraca się stronę. Do takich czynności należą wszystkie złe nawyknienia i nałogi, z którémi równie uciążliwą jest walka dla człowieka, jak i z wrodzonemi skłonnościami.

Wyraz „nawyknienie” w potocznej mowie służy do objaśnienia najrozmaitszych psychicznych i psychiczno fizycznych objawów i tak: pod nawyknieniem rozumiemy często, nabytą zdolność do znoszenia pewnych wrażeń, których przedtym nie bylibyśmy w stanie przenieść, takiémi są: przywyknienie do znoszenia chłodu, gorąca, hałasu, trzęsienia, wahania, bólu i t. d. Nawyknienia tego rodzaju nazwać można biernémi (passywnémi). Zdać sobie sprawę z tych objawów jest rzeczą niemożebną, lecz łatwo pojąć, iż często powtarzające się jedno i to samo wrażenie, musi z czasem uczynić w samym organizmie zmiany usposabiające go do wytrzymania wrażeń których przedtym znieść nie był w stanie, lub które szkodliwy wpływ wywrzećby nań mogły. W taki więc sposób nawykają ludzie do znoszenia bez szkody częstych zmian atmosfery, źle na ich organizm przedtym działających. Nie jeden mamy nawet przykład, że osoby przyzwyczajone do trucizny przyjmowały ją w takiej ilości, którąby niezawodnie sprawiła śmierć osobom do niej nie nawykłym.

Wszystkie te właśnie bierne przyzwyczajenia nie mogą być objaśnione przez refleksy, czyli odruchy — ale o nich też w tej chwili mówić nie będziemy.

W potocznej mowie pod wyrazem „nawyknienie” rozumiemy pewne zdolności nerwów spotęgowane w człowieku przez wprawę. I tak: kiedy powiadamy, że ktoś przywykł podnosić wielkie ciężary, chodzić dużo nie męcząc się wcale, rachować prędko i bez omyłek, skupiać uwagę na jakimś przedmiocie, zajmować się umysłową pracą i t. d.; to pod wyrazem nawyknienie, nie rozumiemy w tym razie samego tylko przyzwyczajenia, lecz powiększenie działalności i siły nerwów nabyte przez wprawę i ćwiczenie. Również jeżeli umysł nasz stopniowo wzbogacony wiadomościami o jakimś przedmiocie coraz większą okazuje do niego zdolność — zdolność ta nie jest bynajmniej wynikiem przywyknienia lub samym nawyknieniem, lecz po prostu udoskonaleniem i rozwojem tej umysłowej do danego przedmiotu zdolności.

Rozwojem zdolności duszy i ciała zajmiemy się mówiąc o umyśle, a teraz ograniczymy się tylko na bliższym określeniu nawyknień i nałogów.

Nerwowym nawyknieniem, w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, nazywamy ten ważny objaw naszej natury, iż wiele czynności które dokonywamy zrazu z całą świadomością i dobrowolnie — w skutek częstego ich powtarzania spełniamy potym bezwiednie i mimowolnie, a tym samym z czynności dobrowolnych i dokonywanych ze świadomością stają się one *czynnościami odruchowemi* czyli *odruchami*. Widoczną jest przytym rzeczą iż nawyknienia i nałogi wprowadzają w organizm nerwowy pewnego rodzaju zmiany, dzięki którym, nabywa człowiek zdolności jakich od natury nie posiadał. W tej właśnie zdolności nerwów do przyswajania całego szeregu odruchów nowych i zacierania dawnych mają źródło nie tylko nawyknienia umyślnie wszczepiane w dzieci w ciągu wychowania, lecz także nawyknienia i nałogi nabyte bezwiednie i mimowolnie jeszcze w niemowlęctwie, a które rodzicom lub opiekunom, a często i samemu człowiekowi lub społeczeństwu z trudnością przychodzi wykorzeniać w późniejszym wieku.

Na tym jednak nie koniec i nawyknienia nerwów mają jeszcze jedno bardzo ważne znaczenie, którego pominąć nie można; oto nerwy nietylko same nabierają skłonności do funkcyi do której nawykły, lecz skłonność tę udzielają jeszcze duchowi znajdującemu się jak wiadomo w ścisłym związku z nerwowym systematem, a tym samym i z wszystkiemi jego własnościami tak wrodzonémi jak i przez nawyknienie nabytémi.

Z początku musimy skupiać i natężać całą siłę świadomej woli naszej, ażeby przyzwyczaić nerwy do pewnej funkcyi, skoro zaś nawyknienie to raz w nas się ustali — nieraz użyć musimy takiegoż natężenia i skupienia siły woli, ażeby nerwy nasze z pod jego wpływu wyzwolić i odzwyczaić; pochodzi to stąd, że dopóki nerwy nie są pod wpływem nawyknień, dopóty my właściwie jesteśmy ich panami — jednocześnie zaś z nabyciem takowych — stajemy się niewolnikami naszego systemu nerwowego.

Nawyknienia przechodzące w skłonność właściwie nazwać można *nałogiem*, albo jak w sztukach pięknych *manierą*.

Przejście nawyknienia w skłonność, daje się tłómaczyć własnościa duszy naszej, własnością której rozbiór szczegółowy odkładamy na później przestając tu na skreśleniu ogólnych tylko rysów. Dusza nasza z natury czynna, nie jest jednak skłonną do walki z przeciwnościami i unika ich instynktowo, szukając natomiast sfery w którejby działalność swoję mogła swobodnie bez przeszkód rozwinąć: sama tedy łatwość czynności do której przywykły już nerwy tłómaczy to, że się owa czynność z czasem w skłonność zamienia.

Wprawdzie jesteśmy zawsze panami naszej woli i pojęcia i jakkolwiek silną być może skłonność nerwowego systematu, możemy

[1]) Человѣкъ какъ предметъ воспитанія. Опытъ педагогической антропологіи. 2 томы. Wyd. drugie. Petersburg 1871 r.

z nią walczyć i zwyciężać ją, ale pojęcie i wola działają tylko chwilowo i z przerwami, podczas gdy systemat nerwowy ze swemi nałogami i nawyknieniami działa na nas ciągle i bezprzestannie. Poddawać się nawyknieniom nerwów jest łatwo i przyjemnie, sprzeciwiać się zaś im, jest rzeczą tym trudniejszą i przykrzejszą im głębiej te nałogi wrosły w nasz nerwowy organizm. I skoro tylko wola nasza słabnie choć na chwilę, a uwaga zajmie się innym przedmiotem, wówczas nerwy nakłaniają nas do działań do których przywykły—i według słów Reida: „dajemy się unieść nawyknieniom jak unosi nas potok, gdy mu się nie opieramy“.

Nawykłemu do tytoniu, samo wyrzeczenie się palenia nie stanowiłoby tak wielkiej przykrości, ale ponieważ jest to przyjemność wynikająca z nałogu, cała trudność i przykrość jest w tym, że trzeba się nieustannie mieć na baczności, aby powracająca doń skłonność nie wzięła góry nad nami.

Im młodszy jest organizm, tym łatwiej i prędzej dają się w nim zaszczepić nawyknienia i tak: dzieci daleko łatwiej i prędzej nabierają rozmaitych nawyknień niżeli starsi. Niemowlę w pierwszych chwilach życia przywyka do pewnej czynności po kilkorazowym jej powtórzeniu—i matki odkładające na później przyzwyczajenie swych dzieci do regularnego karmienia, po kilku dniach przymuszone są walczyć z nabytym już przez nie nawyknieniem. Sprzeciwianie się nawyknieniu dziecka do pieluszki zwiniętej tak, a nie inaczej, do poduszki położonej w ten, nie zaś inny sposób, pobudza je do krzyku i płaczu. Dla tej właśnie przyczyny dzieci chowane przez matki postępujące systematycznie, odznaczają się spokojnością, gdy przeciwnie dzieci matek nierozsądnych są niespokojne i krzykliwe.

Nerwy nasze, możnaby powiedzieć, pragną niejako nawyknień i nałogów, to też pierwsze nawyknienia i nałogi, zaszczepiają się prędko i z łatwością. Człowiek im więcej ma nałogów, tym trudniej dają się w nim zaszczepiać nowe, znajdując przeszkodę w dawnych; dziecko np. z wielką łatwością i w bardzo krótkim czasie uczy się obcego języka, co daleko trudniej przychodzi ludziom dorosłym. Jeżeli zaś nawyknienia i nałogi stają się w nas widoczniejsze z wiekiem, pochodzi to stąd, że człowiek stary mniej ma sił do opierania się nałogom, jak np. i do trzymania się prosto i tak chętnie pogrąża się w nałóg, jak zasiada w miękkim krześle z porzeczami. Nie zgadzamy się jednak całkowicie z temi, którzy jak Bakon, uznają nabyte w dzieciństwie nawyknienia za najtrudniejsze do pokonania. Zdanie to sprawiedliwym jest chyba w tym względzie, iż nawyknienia im dawniejsze, tym trudniejsze są do wykorzenienia, bo powtarzając się częściej, wzmagają się tym bardziej. Lecz jeżeli dziecko prędko się uczy obcego języka, to równie prędko, a może i prędzej zapomina go, jeżeli przestanie się w nim doskonalić i ćwiczyć. Słowem, im młodszy jest człowiek, tym łatwiej zaszczepiają się w nim nawyknienia, ale również łatwo dają się wykorzeniać podczas gdy zadawnione wykorzeniają się trudniej.

Sfera nawyknień i nałogów jest daleko obszerniejszą jak się zdawać może, po urodzeniu niemowlę zaczyna robić pewnego rodzaju doświadczenia i postrzeżenia, które z czasem zamieniają się w bezwiedne jego nałogi i nawyknienia. Wiemy, że niektóre własności wzroku nie są prostemi, wrodzonemi zdolnościami, lecz bardzo skomplikowanemi wynikami, będącemi owocem wielu postrzeżeń, porównań, doświadczeń, i wywodów uczynionych jeszcze w niemowlęctwie, a przechodzących później w nawyknienia, które uważamy za przyrodzoną własność. I tak zdaje się nam bardzo naturalną rzeczą, że dziecko 4 lub 5-miesięczne przywyka trafnie chwytać ręką podawany mu przedmiot. Lecz jeżeli rozbierzemy tę czynność i porównamy ją z warunkami wrodzonemi organów wzroku i czucia, to przekonamy się, że do dokładnego wykonania tej tak prostej czynności dziecko mogło dojść tylko za pomocą wielu doświadczeń, porównań i wywodów. Albowiem, żeby wyciągnąć rękę do przedmiotu, dziecię musi 1) przywyknąć do wiedzy że to jest jego ręka, gdyż wrażenie czucia odbija się nie tam, gdzie przedmiot dotknął ciała, lecz w mózgu, tak—że uczucie którego doznajemy w palcach za dotknięciem, jest tylko bezwiednym nawyknieniem, które wzrosło wraz z nami od dzieciństwa do tego stopnia, że nawet potym człowiek dorosły, któremu odejmą rękę, czuje w niej przez czas jakiś boleści i świeżb; 2) dziecko musi przywyknąć do odróżnienia swego ciała, a zatym i swojej ręki od wszystkich innych przedmiotów równie się odbijających w jego mózgu za pośrednictwem organu wzroku; po 3) musi przywyknąć do kierowania ręką, roztwierania i zamykania palców według swojej woli, co jest czynnością bardzo skomplikowaną, wypływającą ze zbiorowego działania trzech zmysłów: wzroku, czucia i muskułów; 4) prócz tego dziecię musi za pomocą mnóstwa doświadczeń, porównań i wywodów nabyć pojęcia o perspektywie, żeby w niej prawdziwie i dokładnie widzieć i rozróżniać przedmioty i to jest właśnie jedno z z najwięcej skomplikowanych przywyknień ludzkich. Przedmioty odbijają się na płaszczyznie siatkówki ocznej bez żadnej perspektywy i dopiero światła i cienie, znajomość względnej wielkości przedmiotów jak i natychmiastowe porównanie ich pomiędzy sobą dają nam możność widzenia ich w perspektywie. Jeżeli dziecię zdoła ręką uchwycić przedmiot, to znaczy że widzi go już w perspektywie. Stąd widzimy, jak wielką i zawiłą naukę przechodzi niemowlę zaraz w pierwszych kilku miesiącach swego życia i jak wtenczas kiedy dla otaczających, wszystkie jego umysłowe władze, zdają się być uśpione, odbywa się w tym dziecku tak ważny proces. Do przywyknień w niemowlęctwie jeszcze zaszczepionych, a które później zdają się nam być zdolnościami wrodzonemi należą: przywyknienie widzenia za pomocą dwojga oczu jednego tylko przedmiotu, t. j. zlewania dwu odbić w jedno poczucie, dalej przywyknienia widzenia przedmiotów jednokolorowych jednokolorowemi wówczas, kiedy według praw ustroju siatkówki ocznej, powinnoby być zupełnie przeciwnie. Tu także zaliczyć należy nawyknienia uważania przedmiotów nieruchomych za nieruchome pomimo obrotu głowy i oczów. Także nawyknienie chwytania się za uszkodzone części ciała i drapania miejsc swieżbiących.

Niemowlę, które nie ma jeszcze tego przywyknienia, a cierpi swieżb lub ból w ręce, krzyczy i niecierpliwi się nie wiedząc jak temu zaradzić, gdyż uczucia tego swieżbu lub bólu doznaje tylko w mózgu. Do tego rodzaju nawyknień należą także: przywyknienie łączenia zmysłów słuchu i wzroku przy zwracaniu oczów w stronę, skąd głos pochodzi, również łączenie zmysłu czucia i muskułów przy chodzeniu i bieganiu. Dalej, połączenie zmysłu słuchu i muskułów z ruchem przy wymawianiu słów i t. d. *(d. n.)*



Michała Wiszniewskiego. „Myśli o ukształceniu siebie samego.” Dzieło pośmiertne z portretem i życiorysem autora skreślonym przez *Ludwika Niesiołowskiego*. Warszawa 1873 str. 122.

Młodzieży tę kiążkę poświeca autor. Nissa 29 Września 1862. Napis ten wskazuje, że znakomity nasz historyk, myśliciel i literat zamierzył napisać dzieło pedagogicznej treści tak wielce pożądane dla naszej literatury, lecz skon rychły 22 Grudnia 1865 r. niedozwolił mu dokonać tego szlachetnego zamiaru.

Wśród tych wyjątków z filozofii i pedagogiki pomieścił p. N. wspomnienia osobiste autora z wojny Włoskiej, której M. W. był niemal naocznym świadkiem.

Stosownie więc do treści i tytułów tych 12 rozdziałów należałoby je uporządkować następnie:

a) Pedagogika.

(Rozdział I). O czytaniu książek. (Rozdział III). Jakim sposobem matematyka do ukształcenia człowieka pomaga. Rozd. V. Rady w uczeniu się historyi w doświadczeniu własnym czerpane.

Rodzd. IX. Nauka handlowa potrzebna jest i zawsze była do ukształcenia człowieka. Rozd. X. O uczeniu się języków. Jak się nauczyć języka polskiego?

W Rozd. V i X znajdują się gruntowne wskazówki, na które nauczycielom zwłaszcza zwróciciby należało uwagę.

b) Filozofija. Tu możnaby zaliczyć rozdział II. O używaniu gospodarnym czasu, rozd. IV. Dwa razy dwa nie jest cztery, wreszcie 2 ostatnie najważniejsze: rozd. XI Filozofija i XII: O ukształceniu serca i ukształceniu religijnym. W nich zawarł autor swe wyznanie wiary, przyjmując za główną podstawą ukształcenia człowieka, jego serce. Rozd. VI. O uformowaniu się Królestwa Włoskiego i rozd. VII. Garibaldi w Sycylii, właściwie należałoby umieścić osobno jako wspomnienia autora niemające ścisłego związku z powyższemi.

Z urywków tych wnosić można jaką stratę literatura nasza tak uboga w dzieła pedagogiczne poniosła, a zarazem należy zawdzięczyć p. Niesiołowskiemu, że przynajmniej dał nam je poznać jako cenny materyjał do pracy na tym polu. Głębokość myśli, trafne rady i spostrzeżenia oparte na długoletnim doświadczeniu z właściwą sobie jasnością i ozdobnością stylu nieodżałowanej pamięci M. Wiszniewskiego wzbudzają zajęcie każdego czytelnika. *H. W.*

Sprostowanie. w N-rze 11; w artykule wstępnym „Anachoreci”. Str. 1-a w łamie drugim, wiersz 77 od dołu zamiast *razem* czytaj *„rozum” co jest* i t. d

W łamie 3-cim wiersz 13 od dołu zamiast *prostym* powinno być *przeszłym.*

Str. 2 łam 3-ci wiersz od góry 16 i17, zamiast *element elementem* winno być *dement dementem.*

Str. 3 łam 2-gi wiersz 17 od góry zamiast *sumienia* czytaj *ramienia*

W artykule „Nasi Powieściopisarze“ Str. 85 łam 2, wiersz od dołu 20, zamiast *oraz na*, czytaj *na owe*,—taż str. łam 3, w przypisku wiersz 13 zamiast *„Duch i krew* czytaj *„Ducha i krwi”.*

Do dzisiejszego nnmeru dołącza się *na prowincyją* prospekt na drugie wydanie 50 tomów Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.

TREŚĆ.—W pierwszych szeregach.—Hrabina Elodyja. Powieść Maryi Szeligi. (Ciąg dalszy).—Mickiewicz, przyjaciele jego i znajomi.—Listy ze starego obozu, przez Bolesława Prusa. II. (Dalszy ciąg).—Korespondencya z Berlina.—Nawyknienia i nałogi.—Biblijoteczka domowa.—Sprostowanie.—**W odcinku:** Ślady życia. XII.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.